

Wychodzi w niedzielę, z dodatkiem muzycznych, mód, wzorów i krojów.

Cena:

kwartalnie 1 zhr.
półrocznie 2 „
rocznie 4 „

Z dodatkiem:

kwartalnie 2 zhr., półrocznie 4 zhr.,
rocznie 8 zhr. Za przesyłkę pocztową
dolicza się 15 ct. kwartalnie.

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 zhr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe

z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy franco przysyłać należy:

„Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie
w drukarni Kornela Pillera.

Reklamacje nieopieczutowane nie opła-
cają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

ODEZWA DO ZIOMKÓW.

Odprowadziliśmy wczoraj do grobu jednego z najpierwszych pisarzy polskich. Idąc za trumną jego, czuliśmy wszyscy boleśnie, jaką stratę przez ten zgon ojczyzna nasza poniosła.

Ś. p. Karol Szajnocha był ozdobą, chlubą, prawdziwą sławą literatury naszej. Najpiękniejsze zalety historyka w nim się łączyły. Cześć dla przeszłości — bez bałwochwalstwa, sprawiedliwość — bez goryczy, miłość wszystkiego co nasze — bez zaślepienia. Zanurzał się w zamglonych głębiach dziejowych — nie żeby dogadzać pociągom erudycji, nie żeby hałasami dzisiejszych nawoływać mięsząc pokój umarłych, lecz aby rozświecać lampą miłości i rozwagi te groby minionej wielkości naszej i przeszłością terażniejszość tłumaczyć, krzepiąc wiarę narodu w przyszłość.

Daleki od hołdowania doktrynom stronnictw, szukał zawsze w dziejach ojczystych tylko prawdy surowej. A umiał ją wypowiadać z takim wdziękiem artysty i z takim ciepłem Polaka, że dzieła jego znalazły się w rękach całego narodu.

Jako człowiek i syn ojczyzny, żywotem całym złożył świadectwo, że słowa jego były u niego wiarą. Od lat najmłodszych wyrzekł się wszystkiego, co tylko człowiekowi dogadza i schlebja osobistej jego próżności. Poświęcenie dla rodziny, dla ojczyzny i dla nauki było treścią wszystkich jego postępów. I nie stracił go z tej drogi ani gorycze więzienia, ani niedostatek, ani kalectwo, którym podobało się Bogu dotknąć go pod koniec życia.

Przez cały ten zawód ziemski przeszedł ś. p. Karol bez skazy — z chwałą dla siebie i dla społeczeństwa naszego, że jeszcze takich ludzi wydaje...

Im bardziej życie takiego męża było z tej strony grobu wzorem do naśladowania przez wszystkich, tem więcej za obowiązek publiczny poczytać sobie należy, żeby pamięć takiej cnoty żyła i w potomności. Naród nasz w najlepszych swoich czasach umiał cenić każdą prawdziwą zasługę. Okażmy, że i dzisiejsze pokolenie nie odbiegło od tego chlubnego przekazu przodków!

W poczuciu tego obowiązku i w przekonaniu, że słowa nasze okazały się wyrazem uczuć powszechnych, my podpisani pod odezwą niniejszą, zawiązawszy się w komitet, i powziąwszy zamiar wprowadzenia w życie instytucji, którą uważamy za najgodniejszy pomnik zmarłego brata naszego: wzywamy ziomekó w do poparcia myśli naszej darami, których rozmiar zostawiamy chęci i możliwości każdego, oświadczając, że przyjmujemy z wdzięcznością i najskromniejszy datkę. Chodzi o zebranie funduszu, mającego pod zarząd Wydziału krajowego na wieczne czasy

trwać pod nazwą Fundacji ś. p. Karola Szajnochy. Użytkować mają z corocznych prowizyj rzeczono go funduszu osoby, które pracując wytrwale na niwie ojczystej literatury z chwałą dla siebie, a z pożytkiem dla narodu, w braku środków przyzwoitego utrzymania z własnych zasobów ujrzą się w konieczności korzystania ze skarbnicy tej szczodro bliwości publicznej. Przedewszystkiem zaś i nasamprzód ma z niej korzystać pozostała rodzina ś. p. Karola, to jest syn jego, obecnie dziesięcioletni, i wdowa — a to przez cały czas, dopóki im ta opieka kraju będzie potrzebna. Bliższe określenie zasad i warunków tej fundacji tak względnie do rodziny zmarłego, jak i do innych na później osób, orzeczcie akt fundacyjny, który ułożyć zastrzeżę sobie komitet w miarę kwoty, jaka się zbierze.

Gdyby ś. p. Karol Szajnocha był się poświęcił innemu zawodowi, wątpliwości nie podlega, że zdolność, pracowitość, statek i inne cenne przymioty, w które go tak sówicie uposażyła natura, byłyby mu prędzej czy później zdobyły stanowisko niepoślednie i pod względem materialnych korzyści. Zmarły nasz przeniósł, nad wszystkie inne zawody, skromne powołanie pisarza. Byłoby wstydem dla społeczeństwa naszego, gdyby teraz mógł kto powiedzieć: — Oto dla tego, iż życie Karola spłynęło na bezpośredniej służbie około sprawy powszechnej, widzi się obecnie osierocona rodzina jego zagrożoną niedostatkiem!...

I zkażąd potrzeba fundacji, o jakiej tu mówimy, dotkliwie w kraju naszym czuć się daje oddawna. W tak niefortunnych okolicznościach, jak nasze, praca umysłowa i piśmiennicza nie uchyla od powołania literackiego tych trosk codziennych, które zdolne są skrzywić i złamać nawet wyższe zdolności. Jeżeli na rzecz stypendjów dla uczącej się młodzieży i na inne dobroczynne cele tyle już uczyniono w Galicji: to dla czegożby tylko w kierunku, który tu wskazujemy, nie kraj i nadal nie miał uczynić? Literatura stanowi jedną z najpotężniejszych dźwigni życia narodowego. Jeżeli co, to ta sprawa domaga się koniecznej opieki kraju.

Będziemy przyjmowali dary tak w gotowiznie jak w papierach publicznych. Prosimy adresować przesyłki do rąk Wng. Szymona Krawczykiewicza, dyrektora galicyjskiej kasy Oszczędności we Lwowie, który raczył oświadczyć gotowość swoją do odbierania takowych. Również upoważniamy redakcje wszystkich dzienników naszych do przyjmowania składek i przekazywania ich potem p. Krawczykiewiczowi. Równocześnie z tem upoważnieniem zanosimy prośbę do rzeczonych redakcyj, ażeby w kolumnach pism swoich raczyły powtórzyć niniejszą odezwę naszą, jako też sprawozdania z dalszego toku i każdoczesnego stanu tej składki, które zamierzamy od czasu do czasu wraz z szczegółowym wymienieniem nazwisk osób i wysokości

kwot wniesionych podawać do wiadomości publicznej, i ażeby popierały wpływem swoim sprawę, której rzecznikami jesteśmy.

Lwów, dnia 14. stycznia 1868.

Leon Sapieha, Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Oktaw Pietruski, August Bielowski, Antoni Malecki. Jako członkowie zamiejscowi przystąpili do komitetu: Adam hr. Potocki, dr. Józef Majer, prezes Towarzystwa naukowego w Krakowie. Sekretarz: Bernard Kalicki.

NA STEPIE.

Pomówka kozacka

przez

Paulina Stachurskiego.

IV.

Hnat i Dmytro kozakują: jedzą kaszę, piją sywuchę, palą lulkę — nuda taka, że strach! Młodym by w czyste pole, między chmurę wrogów, na tatarów, w Tureczczyznę — tam byłoby gdzie rozhulać się duszy kozackiej! a tu... ja-koś nieczysty popłatał! W zamku było psie życie — na posługach pańskich... do Kosza przysłał — myślał: do raję — a tu wyszedł na łożnia, i gotów jeszcze spaść się na kozackim chlebie... a prawdy nie minąć: tam na stepie błyszczą kozakowi srebrna struga, sinooka Handzia wabi uśmiechem i doprasza się termołamy...

— Hej bracie! pomóżcie, gdzie tej biesowskiej dostać materji? żeby raz zakosztować raję! — woła jeden z drugim, i tęskny wzrok rzuca na nieprzejrzane okiem stępy Budżaku, albo hen dumką płynie z Dnieprém na Czarne morze, do bogatych miast sultańskich... Termołama nie daje spać kozakom! Sama do Siczę nie przyjdzie, a Koszowy i starszyzna czy posnęli... ani myślą o pochodach! Gdzie tam nie myślą! tylko siczowym nie wiedzieć nad czem radzą głowy kozackie — a radzą nad dobrem!

Nie w smak poszło sultanowi sąsiedztwo hołoty siczowej.

•Bolączką mi — powiada — zasiedli na porohach! i posłał do króla swoje sultańskie pismo: Ty królu laskiej ziemi, Mahometów słuگو, jeśli nie chcesz powisnąć tu u mnie na haku — rozpedź het kozactwo! żeby mi jego duch nie pachł w stepie, bo z wojskiem przyjdę, ziemię doczysta zniszczę, a z tobą zrobię jak z tamtym i dziesiątym! — tak rozjedyzył się krewny Mahometa. A król nie taki! Myśli: co mi głowy łamać za kozactwo!... niech sami radzą o sobie! — i przysłał listy sultańskie na Zaporozże.

Dopieroż to było rejwachu! Pan Pisarz jeszcze listu nie doczytał — a tu wszystka starszyzna skoczyła jak jeden człowiek, a Koszowy jak nie zawoła:

— Siaki a taki psie pohński! to z budy śmiesz grozić kozactwu!... Panowe starszyzno i wsi Ataman! pokazać tej zagwożdżonej mozgownicy co to Sicz może!... Chcę on nas dusić w Koszu — my wcześniej przypieczemy mu boków w Carogrodzie! Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — odkrzyknęli atamani i starszyzna.

Im w to i graj! wojna choć z samym djablem!... bo na nie rozleżało się kozactwo... Już i kaszy nie ma czem omaścić — a sadła ani na palec — taka bieda w Siczę!

Pan Pisarz umoczył w kałamarzu wielkie pióro, i zaczęła pisać słowami Koszowego:

„Pohana sobako! nechreste palko łysa, rodzony synie piekielnych biesów Mahomecie sultanie Turecki!

Przyszło do wiadomości sławnej na świat cały Siczę Zaporozkiej, że ty — mać by twoja taka a taka — psie niechrzczony ze swojej budy tureckiej śmiesz ujadąc na Przesławne kozactwo zaporozkie, nas Atamanów, Starszyznę i Koszowego, i pożadasz zguby sławnego na cały świat Kosza Siczę Zaporozkiej, w której tobie i państwu twojemu nie być nawet kupą gnoju... Wiedz że o tem — czortów by ci trzysta i wszystkim baszom twoim! — że sławne Zaporozże nie chce nawet plunąć na ciebie *prostowłosy czube* i na wszystko twoje wojsko plugawe, które nie warte torby sieczki i konia zdechłego, kiedy go ze skóry obedra! My starszyzna, Atamani i Koszowy przesławnego wojska zaporozkiego zapowiadamy tobie kołtunie p...wy psie pohński, że niezadługo przyjdziemy do twej budy w Stambule, i taką ci sprawimy łaźnię, że wszystkie biesy z piekła i twój prorok — siaki a taki — ci nie pomoże! a jak raz p...wą twą skórę wygarbujemy, to wszystkie języki twoich psów poddanych nie wyliza ci jej za tyle lat, ile masz włosów w twojej brodzie, na którą całym Koszem plujemy! Tak mówi tobie, imieniem sławnego Kosza Zaporozkiego, starszyzna i Koszowy, a podpisuje pisarz wojska zaporozkiego Matwij Kormyha.

•Sława-ż tobi Hospode! nie przepadnie marnie kozactwo! a to już tak było, że choć w wodę z dosady... Teraz pokazać światu co umie Zaporozże!

•Ważko ci będzie sultanoczku! bo na dwa szlachy puściło się kozactwo: Koszowy wiedzie mołojców po suszy, a druga kupa siczowych płynie czajkami! Z dwóch boków zabiorą się do księżycy... ciężko będzie pohńcom!

Nareszcie raz doła rozdzieliła wogów: Hnat w czajce popłynął, a Dmytro krasuje się na koniu tuż koło Koszowego, który mile patrzy na dorodnego kozaka, i kręci długiego węża.

Tam-to już chwacka drużyna ci siczowi! Chłopcy jeden w drugiego jak malowany — a z koniem to niby jeden człowiek: nie rozróżnisz! W kozaku i koniu jedna dusza, jedno bije serce — tak się rozumieją z sobą, tak siebie kochają!...

A tam na Sinem morzu — biesowskie dzieci! — czajka jak łupina orzecha unosi się na wysokiej fali: to wyleci w górę, aż hen gdzieś pod niebo, to z nią spadnie w piemiącą się bezdnę — zdaje się śladu nie zostanie... gdzie tam! wypłynęła na wierzch, i leci strzałą — tylko szable i janczarki kozackie migocą w złudnym świetle, a na atamańskiej łódce z chorągwi wyziera srebrny Archaniół.

Poszło-ż kozactwo Tureczczyznę! a jaką połać ziemi zajęło — popamięta przejście hołoty przez długie lata!... Czajki nyszk i em cichutko do brzegu podpłyną, zakryją się sitowiem i sza! — a za jaką minutę, niby z pod ziemi, wyrasta kozactwo. Huraha! leci z okrzykiem, utoczy

wrażej posoki, zapali zamek obronny i hulk! w wodę — płyną, niby dla żartu wysiedli na brzeg ludny!...

Cieżko psom bisurmańskim z chorobrem kozactwem! Sami wywołali biedę na lichy — a teraz pokutują, głowami rozplacając się za urazę sławnego Kosza.

To biesowe dzieci, same charakterniki! Gdzie się ich najmniej spodziewasz — tam wpadną, złupią, zniszczą wszystko, i przepadli!... Szukajże wiatra w polu! Aż słyszysz — wypłynęli szmat drogi: tam zniszczyli obóz, wycieli załogę, zabrali sułtańską kasę... Bisurmany w głowę zachodzą... Zciągają wojsko, gdzie jakie było... Już otoczyli siczowych, już pewni zwycięstwa, dziękują Allahowi, że giurów zagnał w matnię... a kozactwo, zamiast być we środku, wpada na karki bisurmanów, i takie sprawia poczesne, że basza jeden z drugim ledwie się opamiętał w Oezakowie, albo w Adrianopolu!

Gdzie tylko przyszło do rozprawy z bisurmanem, Hnat i Dmytro zaraz pytają: „Czy jest tu termołama?...”. A turkom to w głowie! kiedy ich czesze kozactwo po czubach, że krwawy pot występuje, i za turbanem leci głowa z karku... Nie ma biesowskiej termołamy! Czy drwiła z kozaków stepowa dziewczyna? ale prawda! mówiła, że to mają tylko sułtańskie carówny... Prędzej do sułtana!

Stało się po ich dumce. Koszowy z wojskiem przysiadł się na czajki, płynąć do Carogrodu. — Czort znowu sprowadził Hnata i Dmytra do jednej łódki!

Duszno kozakom... Jak taki: ciężki wróg o dwa kroki, a tu nie tajno, że płynie po termołame, i zaraz dmuchnie na step do krasawicy, kosztować raję?...

— Niedoczekanie twoje! — mruczy jeden.

— Pohybel na ciebie! — wtóruje mu drugi, i nie dobrem okiem mierzą się, że zjeść by chciał jeden drugiego; ale w pochodach wszystkie swarki zabronione: milczeć i wypełniać rozkazy — powinność kozaka, a za byle co — kula do szyi, i w wodę!

Sułtan przeczytał list kozacki... Tak mu coś niby chrzanem zakręciło w nosie!... Gościna kozaków — gościna nie miła, a że Koszowy słowa dotrzyma, to jak Allah jeden a Mahomet jego prorok!... Gdzie jakie było wojsko kazał mu sułtan wystąpić w pole, i zagrozić drogę kozakom do Stambułu.

Daremna robota! ich sto tysięcy pilnuje w polu maniaka, a Koszowy czajkami dopływa sułtańskiej siedziby, i gładzi długie wasy — a to znak, że wszystko idzie po jego dumce.

Niekoniecznie! Skinder-Basza sztuka proworna! przewąchał, że kozactwo morzem podpłynie, i wysłał korab' na spotkanie. Noc ciemna, choć wykol oko; Turek z okrętu nie to czajki, ale nie dopatrzy samego biesa, i ot — może na strachy — wypalił z harmaty... Biesowska kula miała dobre oczy! — jak raz wpada pomiędzy czajki kozackie!... Ani się opatrzyli mołojcy jak wypadło skapać się w morzu... Poszedł i Dmytro pod wodę... (C. d. n.)

Po śmierci. *)

Komedja w jednym akcie,

Bronisława Komorowskiego.

O s o b y :

Pan Tomasz Niewierski. — Stasia, jego córka. — Walery, aktor. — Władysław, jego przyjaciel i kolega. — Piotr, sługa Walerego. — Baron. — Narowek. — Kronikarz dziennikarski. — Mistrz rzeźbiarz. — Mistrz malarz. — Dama zakwefiona. — Poeta. — Icek.

Rzecz dzieje się w mieście teatralnem, w przeszłości lub... w terażniejszości.

(Poprostu meblowany pokój — szafka, stół i parę krzesel; drzwi w głębi i z lewej, z prawej okno.)

Scena I.

WALERY, PIOTR.

(Piotr siedzi w kącie nad gazetą. — Walery przechadza się w myślach po pokoju)

WALERY (przystaje.)

Słuchaj-no mój Piotrusiu, rzuć już raz ten dziennik Do djabła! — Ot, wolałbyś raczej patrzeć w sennik, To choćbyś na loterji może spletał terno — A cóż ci z tego przyjdzie, że przeczytasz mierną Gazeciarską krytykę mej aktorskiej famy?...

PIOTR.

To balsam dla artysty!...

WALERY.

Niech takie balsamy

Kaci drą! na coż mi dziś wszelka sława zda się?...

PIOTR.

A bah! wszakże złociste krzesło na Parnasie!...

WALERY.

Tak — miejsce na Parnasie! uniżony sługa! Na ziemi niech artysta do muz sobie mruga I cieszy parnasową swoją perspektywą, Bo mniej dla niego pewnie byłaby godziwą Ludzka żądza — naprzykład...

PIOTR.

Bisztek na pół krwawy...

WALERY.

Głupis!...

PIOTR.

Żónka — przepraszam!...

WALERY.

Co dzisiaj z tej sławy,

Która ani ogrzeje cię, ani przytuli?

Niech sobie kokietują z muzą ludzie czuli,

Głupcy niech poprzestaną na swoim Parnasie:

Dla mnie to nie wystarcza.

PIOTR.

Lub raczej, w nawiasie

Powiedziawszy, gwałtowne dają się czuć braki

Pewnej połowy ludzkiej —

WALERY (westchnął.)

O losie w zygzaki

Wysnuty — losie głupi — losie czczy i mglisty

I grzędki — losie... słowem, o losie artysty!

Niech cię... ha! nie dokończę tej prześlicznej ody...

Patrzcie ludzie! ot, przeciłem taki zdrów i młody

*) Autor zastrzega prawo przedstawienia i tłumaczeń.

Jak na świecie miliony innych — nawet może
Od innych ja czujący hardziej życie boże —
Ja — przecie ani gołąb', ani też wymoczek:
Ja, z góry zrzec się muszę wszelkich ładnych oczek,
Aktor bowiem, mam muzę i bobkowe liście!
Ha, ha! do nóżek ścielę się panu artyście!
Dziękuję! bardzo pięknie dziękuję! upadam!...
Protoplastą artysty nie jest więc ten Adam,
Któremu n a s a m tęskno było nad Gangesem,
A Bóg się ulitował i złączył go...

PIOTR (wpada mu.)
Z biesem...

WALERY (bardziej przed siebie.)
Nie wspomnę już o bardziej specjalnym przesądzie
Ku aktorom!

PIOTR.
Pan aktor jeździ na wielbłądzie
W oczach świata — straszniemi sa h a r s k i e m i pustki:
S a h a r ą artystyczna kieszeń, gdzie prócz chustki
Do nosa nic nie znaleźć...

WALERY (mimowolnie maca się po kieszeniach, i wydobywa
chustkę i parę rękawiczek — kiwa głową boleśnie.)
Stare rękawiczki...

PIOTR (z ukłonem.)
A! pardon!... Zaś wielbłądem, są owe pożyczki
Izraelskie...

WALERY (dobywa notatki pugilaresowe i przegląda.)
Niestety! śliczne mi obrazy!
Mój dług!... (skłania głowę na piersi.)

PIOTR.
Ten kończy jazdę: arab do oazy
Zawija — zaś artysta poznaje się z k o z ą...

WALERY (chodzi silnie po pokoju i mówi westchnieniami.)
O terminy!...

PIOTR (chodzi za nim wielkim krokiem i odpowiada jak echo.)
O pustki!...

WALERY (j. p.)
O przesądów zgrozo!...

PIOTR (j. p.)
O serca zapatrzone!...

WALERY (j. p.)
Ojcowie nieczuli!...

PIOTR (j. p.)
O węże! „coście serca dwa naraz zatruli!...”

WALERY (j. p.)
O długu mój!...

PIOTR (bardzo cienko.)
O Icku!...

WALERY (z wrastającą przesadą.)
O nicość!...

PIOTR (j. p.)
O światy!...

WALERY (j. p.)
O dniu jutrzejszy!...

PIOTR (j. p.)
Sądny dniu!...

WALERY (j. p.)
Mojej wypłaty!...

PIOTR (j. p.)
O żołądka tęskniący!

WALERY (j. p.)
Artystyczna sławo!...

PIOTR (j. p.)

Muzo!...

WALERY (przystając nagle.)

Plumps!... teraz stoisz — ni w lewo, ni w prawo!...
Kędy spojrzeć chcesz — ciemno... przepaść z każdej strony
Pod nogami — tu termin Ieka, jak szalony
Piorun wypadać zda się z chmur i godzić...

PIOTR.

W kieszeń!

WALERY.

Bardzo smutną... Zginałem! nie masz już pocieszeń
Dla mnie, tu na tym świecie!

PIOTR.

Ej, a coż by na to
Rzekł ktoś — z pierwszego piętra...

WALERY.

Toć mniejsza z wypłatą —
Ale właśnie — i właśnie to piętro...

PIOTR.

Rzecz inna!

Piętro — a raczej córka gospodarza: — zwinna
Jak muszka świętojańska — oczki jak dwa bratki —
Szatynka — miód technie z ustek, a liczka — oplatki...
To dalipan wartało już popuścić trzęzle
Sercu — czyli tam raczej powiedziawszy zwięzłe:
„Zakochoać się po uszy!”

WALERY.

Ba! „zakochoać” samo
Głupstwem! ale co zrobić z tą przeklętą tamą
Co mię grodzi od Stasi? co zrobić z tym papą
Co ma herb, dom — i w domu swoim jest satrapą!

PIOTR.

O, sek ten pan gospodarz! z ócz można mu czytać
Że w aktorze nie bardzo rad zięcia powitać,
Człowiek wysokich progów i straszego wasa —
Przytem zręda, na sługi cały dzień się dąsa,
Łaje, gdera i wszystkim co w domu pomiata,
A nawet, jak wiem pewnie, ma coś i z warjata...

WALERY.

Jako żywo!

PIOTR.

Ba, właśnie wiem to od lokaja,
Który po kilku chorych dziennie mu naraja,
I ci służą za kozłów jakieś tam praktyki
Durnopatycznej...

WALERY.

A więc papa ma swe bziki?
Dobrze wiedzieć.

PIOTR.

Tfy! dziwne bo jakieś sposoby
Kuracji, a na wszystkie pod słońcem choroby
Jedne, i mianowicie: machanie rękami
Pod nos choremu, co też czasem i omami
Aż do snu...

WALERY.

To magnetyzm pewnie! a, rzecz nowa,
Teorja cudotwórcza!

PIOTR.

Niech sobie kpi zdrowa
Z chorych ludzi! Więc papa ma pasją się biesić —
Nad chorymi, i twierdzi, że nawet i wskrzesić
Już po śmierci możnaby owem cudotworstwem...
Mentykaptus widocznie!...

WALERY (po chwili przed siebie.)

— Co gorsza, z aktorstwem
Na bakier... Pietrze, Pietrze! coż że ty przekradać
Umiesz listy do Stasi, albo się ujadac

PIERWSZA MIŁOŚĆ KORREPETYTORA.

Luźne kartki zebrane

przez

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

V.

O rospaczy! Brama w domu wice-burmistrza zawarta; w oknach pozapuszczane story; nawet dzwonek u drzwi wyjęty... Pan wiceburmistrz wyjechał, i panna Barbara wyjechała, i hebes Jacuś wyjechał, i kucharka wyjechała — na wieś — na świeże powietrze, i wróca za miesiąc dopiero. Niechby tam pan Chrapiełło, Jacuś i kucharka... ale panna Barbara!... Panna Barbara potrzebuje świeżego powietrza, bo bledsza — pan wiceburmistrz potrzebuje świeżego powietrza, bo czerwieńszy — kulawy Jacuś detto, bo nie zdał egzaminu, a kucharkę mieć muszą, bo na świeżem powietrzu trudno żyć samem świeżem powietrzem. Przebóg! Szczęsny! tyś bardzo nieszczęśliwy!

Ale od czegoż algiebra? Pan wice-burmistrz Chrapiełło bierze miesięcznie tyle a tyle... tyle zaś wydać może, a nie więcej, na świeże powietrze... zatem musi być niedaleko... więc w okolicy... w okolicy zaś leży: Młynówka, Lasów, Pagórniki i Przecznice — ergo... O loiko! O algebro!

Puszczam się śmiało w ulissowską podróż pieszo po okolicy. O Merkury, bożku złodziei, matematyki i zgubionych rzeczy, prowadź mnie!! —

„Pędź latawce białonogi —
Góry z drogi — lasy z drogi!...”

Och, prawda, wielka prawda! Ten Mićkiewicz to była przecież tego głowa! Jakby zgadł! Wyglądam jak latawiec: czerwony, zziązany, spocony, zmęczony, zbiegłszy trzy wsie i cztery folwarki; jestem aktualnie białonogi, buty moje z gościńcowego prochu nabrały jakby gipsowej powłoki na pół cala... Otóż siedzę na granicznym słupku i powtarzam za Mićkiewiczem: pędź latawce!... Ale co mi tam z poezji! Precz więc z nią, szczególnie kiedy mi się okrótnie jeść chce... Wyciągam zatem kiełbasę i konsumuję, potem bułki i konsumuję, to samo czynię ze serem i zostaje — nula. Wszystko to uskuteczniłem z arytmetyczną dokładnością.

A jednak nigdzie nie znalazłem panny Barbary!

W Młynówce na folwarku pokąsał mnie kundys, nieszczęsny postrach złodziei... Zapewne wziął mnie za jednego z takowych egzemplarzy, i byłby mi poogryzał łydki, gdyby nie brak zupełny tego zbędnego artykułu u matematyka. Wlażem do jakiejś na-wpół zwalonej chałupy — pytam o pana Chrapiełłę... Przekłęta jakaś czarownica, zapewne ekonomowa i władczyni tego całego stada kur, gęsi, kaczek i indyków, co mnie otoczyło do koła, piejąc, gdakając, piszcząc i ćwierkając — zamknęła mi drzwi pod nosem, nabrawszy jeszcze dobrze, Bóg wie zaco, z góry! — Co to za głupia rzecz miłość! Zapomina się algebry, biega po folwarkach i pozwala się mieszać z błotem przez ekonomowe; wreszcie kąsać w łydki przez zajadłe psiska. Niemasz nad algebrę! —

W Lasowie wziął mnie szanowny obywatel i właściciel dóbr ziemskich za demagoga czyli włóczęgę, i kazawszy

Z żydami? Jeśliś mądry, powiedz — ja za głupi —
Co będzie gdy mi moję Stasięnkę zakupi
Ten złoty Holofernes, co się o nią stara?

PIOTR.

Ej, czyżby?

WALERY.

Ba, czy nie znasz starego tatara,
Którego los bezczelny robi ojcem Stasi,
Na psikus, najwyraźniej!

PIOTR.

A któż to się lasi
Do panny Stanisławy? po pierwszy raz slysze...

WALERY.

Ach, jakże ja ci tego Adonia opiszę?
Usta wprzód przypraw złote, na organ wymowy
Technij eterem złocistym — w pierścieni brylantowy
Opraw nadto słoweczko każde — każdą zgłoskę —
Pod literą rozumiej t y s i a c d u s z n ą wioskę;
W każdej duszy...

PIOTR (uginając się.)

Dość, gwałtu! dość, bo nie udźwignę —

WALERY.

Masz go!

PIOTR.

Ej, bo pan mówi przez złotą malignę!

WALERY.

Masz go! z wszystkich stron jego świeci złoto bosc!

PIOTR.

Aj, aj!

WALERY.

On w złoto bardziej bogaty, niż w rosę
I w kwiaty i w promienie najczulszy poeta!

PIOTR.

Ho! tutaj protestuję...

WALERY.

A jego kaleta
Po brzeg pełna pekunią, jak wodą Atlantyk...

PIOTR.

Czy młody?

WALERY.

Grat — rudera — z podagrą romantyk!
Bryła złota przelana na model barona!

PIOTR.

A serce?

WALERY.

W bokobrodach i w szkiełku.

PIOTR.

Coż ona?

Panna Stasia co na to?

WALERY.

Co? co? — biedne dziecie!
I coż zostaje dla niej oprócz łez na świecie?
Ten wielki mongol — ojciec — każe iść za cielca:
Dwa dni zostają jeszcze na ślub do popielca,
I w tych dniach będzie może już po mojej Stasi!...

PIOTR.

I artyście wieść przyjdzie nadal żywot ptasi!...

WALERY (wzdychając.)

Och, och, och!...

(C. d. n.)

lokajowi pokazać mi drzwi, wrzasnął w jowiszowym gniewie: Jak możecie puszczać takich ludzi do sieni! chcecie żeby jeszcze co ze srebra (sic) zginęło? — Stuliwszy uszy, udałem, że cierpię na głuchotę i wysunąłem się chyłkiem za bramę. O panno Barbaro! przez ciebie robia mnie złodziejem! Nie masz nad algebrę! —

W Pagórniku o mało mnie nie przebódl żywcem na wskrós rozhlukany wół, pędzący przez pola; a na dziedzińcu we dworze wpadłem po kolana w gnojówkę. Na domiar wzięto mnie za jakiegoś figlarza kuzynka, i poczułem się naraz z okna oblanym całą konewką wody. O panu Chrapielle i jego córce nikt nie wiedział... nazwano mnie żydem tułaczem, kazano czytać jakiegoś Hugona czy Wiktora, dość że nie Mocnika, Krawczykiewicza, i śmiano się z nazwiska mojej panny Barbary... A wy, jak się zowiecie moje panny? Laura, Bogumiła, Józefa, etc? etc? Nie! nic nad Barbarę! bo panna Barbara nazywa się Barbara!.. I ja to wszystko przenieść musiałem!.. Nie masz nad algebrę!..

Jeszcze pozostały mi Przecznicze. Jeżeli i tu się zawiadę, wracam do miasta, kładę się w łóżko, i po tylu zawodach i trudach spożywam snem sprawiedliwych, jak owych siedmiu śpiących braci, o których mamka mi opowiadała przed dwudziestu laty!

A jednak, nie zawiódłem się!.. Przed Przecznicami płynie potok, przez potok idzie droga, przy drodze pierze kobieta spodnice wśród rozwieszonych po krzakach halek; w kobiecie tej poznaję, po fartuszkach niepewnej barwy, kucharkę, a kucharka ta jest Magdaleną wice-burmistrza; ergo wice-burmistrz w Przecznicach, i Jacuś w Przecznicach, i co więcej, panna Barbara!.. Kilka słówek wymienionych z pokutującą między spodnicami Magdalenę uczyniło zadość mojej ciekawości. Panna Barbara mieszka na leśniczówce. Spieszmy!

Łatwo powiedzieć: spieszmy... Im więcej zbliżam się do celu moich żądań, tem więcej drżą podemną nogi, trzęsą się ręce, serce wali jak młotem, w uszach mi dzwoni, w oczach mi ciemno, język staje kołkiem... Dla nabrania odwagi i zebrania zmysłów, powtarzam na pamięć cały sens Pitagoresa bez zajęknienia, i kroczę laskiem; ale droga moja dziwne i pocieszne przedstawia zygzaki. Las się kończy — płot... za płotem ogródek; trzeba więc przeleżeć. Stawiam nogę na płocie — charty, gończaki, legawce, jamniki, etc, etc, wyrastają z pod ziemi, jak grzyby po deszczu, otaczają mnie wyjącem półkolem; pochylam się, padam jak długi na drugą stronę; gubię kapelusz, tłuczę okulary, rozdieram podę od nowiuteńkiego tużurka, sprawionego ledwie przed dziewięciu laty, i walam w błocie po kolana nankinowe moje paradne pantalone. — Żegnam się, krzyczę na gwałt — psy ujadają. — W ogródku domek, nad gankiem jelenie rogi. — Przebóg! to leśniczówka! — Gdyby to teraz panna Barbara!..

Co to jest? Jakies ręce obejmują moją głowę dokoła, zasłaniają oczy, i trzymają tak silnie, że czuję, jak mi coś trzeszczy w karku. Mimowoli sięgam do kieszonki, dobywam srebrnego czasomiaru w kształcie pękatej cebuli, jedyną spuściznę po moim dziadku, i ofiaruję krępującemu mnie olbrzymowi, by okupić przynajmniej życie. —

Olbrzym trzyma i mileczy... Dodaje ostatniego guldena i krajcarów dziesięć... w końcu z westchnieniem rospaczy chce mu oddać nawet mój traktat trygonometryczny. — Cisza... Mróz mię przejął, osunąłem się na kolana i przejrzałem... O nieba! To panna Barbara!.. Panowie i panie! Przysięgam ona dusiła się ze śmiechu, a ja, ja ledwie nie tonąłem we łzach. Mój tużurku, moje nankinowe pantalone, ostatni raz miałem was na sobie! Żegnam was ostatnie potomki domu Siekierzyńskich!

Wiele, wiele potrzeba było z jej strony wymowy, by mnie zupełnie uspokoić... Tyle wrażeń naraz! Tużurek i olbrzym, nankin i panna Barbara, gończaki i miłość! Wzruszenie to byłoby mnie pozbawiło zmysłów, gdybym je z matematyczną skrupulatnością nie trzymał na wodzy.

Wzięła mnie pod rękę — tak — ona wzięła mnie pod rękę, i poszliśmy ku dworkowi. Kto wyszedł? Wice-burmistrz wyszedł, Jacuś kulawy wyszedł, i urwał mi zaraz przy powitaniu przedostatni guzik od tużurka, zaco dostawszy szcztka od papy, wyjąc ukrył się w gęstwinie agrestu, wielkie tamże swoją żarłocznością sprawiając spustoszenie. Pan wice-burmistrz, z początku zły i granatowy, przeszedł powoli w udobruchanego i karmazynowego, poczem nawet stał się grzecznym i czerwonym — a gdy wreszcie rozpoczął lamenta nad upadkiem Jacusia przy ostatnim egzaminie podczas mojej domniemywanej choroby, okazały się łzy w oczach pana Chrapielle, i pan wice-burmistrz przybliżył do niewidzianego potąd stopnia. Posadził mnie na ganku, zaproponował flaszkę piwa dla ochłody; panna Barbara przyniosła takowe natychmiast i własnoręcznie mi je podała... Piwo to znane mi doskonale ze swego złego gatunku od Menkesa z pod śpiwającego rybym wydało mi się boskim nektarem; na chwilę zapomniałem nawet o decymałkach i regule trzech... Tak siedzieliśmy na ganku we troje. Pan Chrapielle sapał, wracając powoli do *status-quo*, t. j. granatowej barwy nosa... panna Barbara robiła pończoszkę, a ja? — ja nie robiłem pończoszki, lecz mówiłem wiele, bardzo wiele, — same rzeczy mądre i pożyteczne; wprawdzie tylko do pana Chrapielle, bo siadłszy zaraz z początku tyłem do panny Barbary, nie miałem już tyle odwagi poprawić się przyzwoiciej... więc tylko bokiem zerkałem na nią; mimo to ona się ciągle uśmiechała... To dobry znak, bardzo dobry! *Galilee vicisti!*

I siedziałem tak trzy godziny tyłem do panny Barbary, frontem do chrapiącego już pana Chrapielle. W końcu nie chcąc go zbudzić i bojąc się, by nie zaczął znowu wychodzić ze *status-quo* z wszystkimi tegoż akcesorjami, pożegnałem pannę Barbarę, bo słońce miało się ku zachodowi, a droga przed nosem nie krótka! Pokrzepiony i swobodniejszy ruszyłem z powrotem.

— Odwiedz-że nas pan prędko, panie Szczęsny! — oto ostatnie jej słowa... a przez całe trzy godziny ani spytała o Wichrowicza...

O panno Barbaro! Prędko — bardzo prędko do widzenia! — (C. d. n.)

Korespondencje.

Z Podola dnia 18. stycznia 1868 r.

Chciałabym i ja podzielić się z czytelniczkami „Nowin“ wiadomością o naszym tu życiu podolskiem. Ale niestety! letargicznie uspiły go śnieżne zamieci, któremi tak jest zasypane, że bywają dnie w których komunikacja zupełnie jest przerwana. Lawiną śniegów zawiane drogi, zawieruchy i mrozy są tu u nas na porządku dziennym; o programie zabaw w karnawale jak o żelaznym wilku usłyszeć nie można. Bogatsze domy wyniosły się za granicę, lub zamieszkały na zimę w stolicy — a mniej zamożni, zaniepokojeni przeszłorocznym nieurodzajem i niepowodzeniami w gospodarstwie, wywołują jerenjady na złe czasy.

Nic godniejszego uwagi w tej chwili znaleźć nie mogę nad wzmiankę o szlachetnem poświęceniu W. Erazminy z Wiszniowskich Schattauer, żony wielce poważanego lekarza zamieszkałego w Czortkowie, która *par force*, zwyciężając największe trudności, tworzy bibliotekę publiczną w Czortkowie, ażeby dopomóc mieszkańcom w rozwijaniu ducha, przez wyrabianie w nich zamiłowania do literatury ojczystej. Ta prawdziwie polska niewiasta kładzie podwalinę przyszłej budowy, ofiarując drogocennych sto dzieł z własnej biblioteki, ażeby wzbogacić księgozbiór — a tem samem i cel do skutku przywieść, zamiar w życie wprowadzić. Za staraniem jej wyłącznie, wiele osób w miejscu mieszkających i z okolicy przyczynia się do wzniesienia tej biblioteki, z której i okoliczni korzystać będą, bo wypożyczanie książek za rewersem, za nader małą opłatą ma nastąpić — a które to pieniądze obracane będą na prenumeratę pism czasowych, właściwych celowi wytkniętemu, i na zakupno książek ludowych. — Jest to cel piękny i zasługa, o której zamilczeć niepodobna. Dodać jeszcze muszę, że założycielka biblioteki publicznej ma zamiar ofiarować bezpłatnie salę w własnym domu, największą może w całym Czortkowie na odczyty publiczne, i pokój obok na umieszczenie księgozbioru.

Zacna ta dama duszą i sercem oddana celowi swemu, wprowadziwszy go w życie, wdzięcznością zapisze swe imię w dziejach Czortkowa, bo przyszłe pokolenie ze czcią wspominać będzie założycielkę biblioteki, która im da możliwość poznania i ocenienia arcydzieł literatury narodowej.

Malwina W.

Rozmaitości.

* W Petersburgu zawiązał się komitet naukowy wszechsłowiański, którego zadaniem jest — moskwić świat cały; a jeśli się uda, tedy i na kięzycu zatknąć narodową Moskwę chorągiew: knut i kajdany!

* Donoszą nam z Tarnowa o przedstawieniu amatorskiem na cel dobroczynny, urządzonem przez księstwo Sanguszków, które razilo głównie niepoprawną wymową pp. amatorów i amateerek z arystokracji. Ha! trudno się dziwić... Nasi panowie zbyt mozolnie studują obczyznę, by znaleźć czas na wycuczenie się dokładne mowy ojczystej. Niech ją plebs uprawia! — dla nich dość francuzczyzny.

Sprawa stałego teatru w Tarnowie oddaną została, przez Radę miasta p. Rutowskiemu dla dania opinji. Ciekawa rzecz czy chociaż jedno miasto prowincjonalne w Galicji zdobędzie się na stały teatr?..

Pan Kątski dawał koncert w Tarnowie — przed pustemi ławkami.

* Cenzura teatralna ma być zniesioną w Austrii. Odpowiedzialność przed sądem wprost ma ciężać na dyrekcji teatru za przedstawienie.

* *Lejla* opera romantyczna Karola Bendla. Nowy ten utwór czeskiego kompozytora miał znaleźć znakomite przyjęcie w Czechach, słynących z wysokiej znajomości muzyki.

* Konkurs teatralny we Lwowie przysporzył scenie 27 utworów: mianowicie: dramatów 16, tragedia 1, komedyj 8, krotoczwila i operetka jedna — te niewłaściwie zostały nadesłane do komisji konkursowej. Kraków dostarczył 10 utworów, Warszawa 7, Lwów 6.

* Karabiny igielkowe wynalazł za Ludwika XVI. kawaler d' Arcy; jednak system ten w uzbrojeniu nie utrzymał się. Napoleon I. podjął wynalazek d' Arcy'go, i na rozkaz cesarza ulepszeniem broni igielkowej zajął się pułkownik Pauly; w armii jednak nie zaprowadzonymi zostały te karabiny, gdyż uznano je za niepraktyczne. Pauly, pomiędzy robotnikami w swym warsztacie miał pewnego wyrostka z Erfurtu, który zajął się udoskonaleniem wynalazku, a po latach 60 dał Prusom zwycięstwo pod Sadową i panowanie w Niemczech. Imię tego dobroczyńcy ludzkości M. Dreyse; o którego śmierci już donosiliśmy.

* Dzięki szkole muzycznej pana Kozłowskiego miewamy od niejakego czasu wieczory muzykalne w Kasynie mieszczańskim, które do prawdziwych przyjemności zaliczyć należy. Jeżeli zważymy, że dzisiaj tak trudno o dobrą muzykę, tedy wdzięczni być winniśmy p. Kozłowskiemu, że nas zaznajamia z dziełami mistrzów, tem więcej, że — co w naszym wieku materjalnym znaczy nie mało — czyni to bezpłatnie. Towarzystwo muzyczne, mające więcej po temu środków, nie łaskawe na spragnionych muzyki: jeśli się i da kiedy usłyszeć, to tylko za wynagrodzeniem, które niejednego odstręcza... Błogosławiony kraj, w którym muzyka, jak światło dzienne, udziela się wszystkim! Na teraz myśleć o tem nie możemy; ale niech nam wolno będzie uważać dobre chęci p. Kozłowskiego za wstęp do szerszego i bardziej przystępnego udzielania się muzyki ogółowi, i złożyć mu za to podziękowanie.

Dnia 19. b. m. pan Kozłowski w towarzystwie członków Szkoły, zachwycił słuchaczy mistrzowskim odegraniem *Allegro vivace*, *Scherzo* i *Adagio* z kwintetu Mendelsohna; poczem przystąpiono do ohocej zabawy, która się w późną noc przeciągnęła.

* Wielka uroczystość w redakcji „Słowa“ a radość bezgraniczna po między moskalofilami Pragil... W raju ziemskim Mask wie-matuszkie odkryto znowu jeden naród słowiański, tak czystej krwi, jak mieszkańcy moskiewskiej, talskiej i orłowskiej gubernji; są nim Karagasi o których „ani się śniło naszym etnografom.“ Nowi ci bracia słowiańscy żyją w górach pokrytych lodami, raz do roku zehodzą do Niżnieudińska, żenią się tam, i natychmiast wracają zkad przyszli. Jaki jest ich tryb życia? dotychczas niewiadomo... jakim mówią językiem? podobno żadnym; ale to nie przeszkodzi moskalofilom utrzymywać, że mówią najczystszy językiem ruskim — jedynie i ogólnie słowiańskim!.. Niech żyje „Słowo!“ niech żyje nowy naród słowiański Karagasi!

* W pewnym domu obywatelskim miał się odbyć ślub. Na dzień oznaczony zebrali się goście, krewni, znajomi, przyjaciele, nawet ksiądz proboszcz, który miał błogosławieństwo małżeńskie udzielić. Panna młoda przybrana w ślubne szaty, matka z oczyma zatławionemi, druchny z pewnym wyrazem tęsknoty na twarzy, družbowie z wesołym zapowiadającym potop różnych żarcików uśmiechem, wszystko było w pogotowiu i czekało. Nie było tylko pana młodego i przyszłego teścia.

Ale nie dziwić się ich nieobecności, obaj bowiem zajęci nader ważnemi sprawami, usunęli się do najodleglejszego pokoju.

Tam odbywał się pomiędzy nimi targ bardzo ożywiony, który wkrótce przemienił się w spór zajadły.

Główny powód sporu był następujący:

Kwalifikant na zięcia trzymał od lat kilku od przyszłego swojego teścia wieś w dzierzawie. Żeby czasu nie tracić, starał się jednocześnie o rękę córki swojego jurisdatora, a dając tak silne dowody uczucia, uważał za rzecz zbyteczną płacić naznaczone za dzierzawę raty. W ten sposób dług zaciągnięty powiększał się z dnia na dzień, a gdy do kapitału przylączyły się procenta i procenta do procentów, cała ta suma w jednę zebrana cyfrę, wyglądała wcale poważnie.

Ale ojciec panny był bardzo cierpliwym, jestto bowiem przymiot zalecający zwykle ojców panien na wydanu. Czekał więc nietylko dnie, tygodnie, miesiące, ale lata całe, mając zawsze przed sobą wiadomy sposób ukończenia tego rachunku.

Konkury choćby najdłuższe, muszą mieć jednak swój termin.

Nastąpiły oświadczenia, które przyjęto i oznaczono dzień ślubu.

W dniu tym walka miała się odbyć na dobre.

Teś szukał zaczepki ze strony zięcia i gdy ten ostatni upomniał się o przyrzeczone za córką pieniądze, on nawzajem wystąpił z całym dawniejszym rachunkiem.

Znalazło się tam wszystko bez najmniejszego opuszczenia, tak raty jak i procenta od nich zaległe, poniszczony w folwarku budowie, aż do ochwaconych remanentowych koni, co wszystko ściśle obrachowano na gotówkę. A było tam tego tyle, że po strąceniu panu zięciowi ciężących na nim zaległości z obiecanych po pannie w posagu kilkunastu tysięcy, albo bardzo mało, albo nie się nie zostawało.

Przyszły zięć dotknięty do żywego takim obrotem rzeczy w najdelikatniejszym swem uczuciu, widząc że ma wziąć żonę a nie brać pieniędzy, walczył z początku różnymi przekonującymi dowodami, w końcu wreszcie zdobył się na argument poczerpnięty z głębokiej znajomości historii, bo jak Szwajcarowie którzy na dworze króla francuzkiego odezwali się *Pas d'argent pas de Suisses* tak i on wyrzekł ostatecznie: „Nie ma pieniędzy to i ślubu nie będzie.“

Nie posądzamy go wszakże o przywłaszczenie sobie tej loiki, owszem wierzymy szczerze, iż mógł o niej nawet nie wiedzieć, a przytaczamy tylko to odezwanie się jego jako dowód, że skutkiem jakiegoś nieodgadnionego prawa natury, rzeczy jenjalne nie giną w świecie, ale powtarzają się od czasu do czasu, odradzając się jak Feniks z własnych popiołów.

I niewiadomo na czem skończyłaby się ta kwestja, w której obie strony pragnęły wziąć coś, nic w zamian nie dając, gdyby się nie pojawili najbliżsi krewni obu stron poróżnionych z księdzem proboszczem na czele, który upomniał, że to już druga po północy, zatem jest pora nietylko na ślub ale i na biesiadę, że panna młoda czeka zapłakana, że matka dwa razy zemdlła, a reszta gości myśli o rozjechaniu się do domów.

Takie dopiero upomnienie sprowadziło powasńionych do jednego mianownika. Zięć dla miłej zgody poprzestał na pewnym dodatku w gotówce do dłużnych przez niego za dzierżawę pieniędzy, zaś teś wykreślił z rachunków, a jak twierdził i z serca, procenta od procentów, zwalone budowie a nawet ochwacone konie.

Jakaż przyszłość takiego małżeństwa? Jakiż los tej panny, przyszłej matki dzieci, która ma być tylko dodatkiem do większej albo mniejszej sumy pieniędzy? Jakie wyobrażenie o godności i obowiązkach rodzicielskich takiego ojca, który widząc, że bez posagu na tym prozaicznym świecie córkę wydać za mąż trudno, naznacza z biedy ów posag, starając się wszakże korzystny na nim zrobić interes?...

* (Teatr.) Na dochód Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczy Techniki przedstawiono dnia 22. b. m. *Intrygę i miłość* Szillera.

Przedstawienie *Intrygi* wymaga sił artystycznych, których obecnie na scenie naszej nie mamy. Ludwika, Wurm, Prezydent, Ferdynand, Lady Milfort, Miller — role z którymi liczyć się potrzeba... Z tych jeden tylko p. Linkowski w roli ojca grał dobrze. P. Nowakowska (Ludwika) miała chwile podniosłe, świadczące o sile jej talentu; ale wszystkim trudnościom roli nie mogła poddać. Pieszczotliwość głosu, zbyt czyny nacisk na końcowe sylaby słowa — to zwalczyć w sobie powinna artystka. Gdzie w słowie występuje cała uczuć potęga — tam p. N. siłą wygłoszenia i prawdą w niem zawartą porywa; dla czegoż w chwilach spokoju, kiedy wypowiedzeniu nie towarzyszy ogień, dla czegoż w takich chwilach przebijają owa kliwość, będąca ujmą jej talentu? Pozbyć się tej wady nie trudno artystce, a pozbyć trzeba koniecznie. Bohaterka — nie jest romansem dziewczątkiem! To potęga, która nie pozwala o sobie zapominać nawet w chwilach najmniej znaczących. — Jak wielką uwagę na scenie zwracać należy na szczegóły najdrobniejsze jak: upięcie włosów, suknie, pozyję w zemdleniu, rozmiar sceny — miały artystki dowód w czasie przedstawienia... Niedokładności tego rodzaju są winą nie tyle artystów, co zarządu scenicznego; gdzie nie ma prób z dekoracjami i tem wszystkim na scenie, od czego zależy akcja, tam artysta zawsze będzie narażonym na to, co miało miejsce w przedstawieniu *Intrygi*, że słowa, które się wypowiada odchodząc, skończonymi zostały, zamiast na scenie, za kulisami i t. d.

Pan Szymański nie wystudjował roli Ferdynanda: w pierwszym akcie był zachłodnym; w następnych nie obliczył się z siłami, zapomniał,

że uczucie w bohaterze przybiera jak potężna fala, zpotęgowuje się z każdym niemal słowem... Brak ekonomji głosu spowodował, że ostatnie sceny nie wywarły wrażenia, które wyrzucić były powinny, gdyby miał miejsce umiejętny podział głosu, o czem p. Szymański bardzo często, z ujmą swego talentu, zapomina.

Pan Królikowski przedstawił nam Barona w *Ślizkiej drodze*, ale nie Prezydenta. — Ojciec Ferdynanda — postać wykowana z jednej sztuki granitu; ruchliwość, elegancja w Prezydencie rażą, a marszczenie ust i podnoszenie głowy do góry nie dadzą w nim tego, czem być powinien. P. Królikowski lepszym byłby Wurmem, aniżeli Prezydentem.

Pan Baranowski gra swoją i ucharakteryzowaniem przypominał nam Burley'a z *Maryj Stuart*; a jakaż to pomiędzy nim a Wurmem różnica! Pan Baranowski roli nie sprostał, bo ta nie nadaje się do jego talentu.

Dyrekcja naszego teatru ma szczególniejszą zdolność do zabijania talentów; a dowodzi tego sposobem dwojakim: nie dając pola do pracy, lub przeciążając nią siły, które poddać trudnościom nie mogą. Panna Górecka, rozumnie kształcona mogłaby się wyrobić na niepoślednią artystkę — na scenie lwowskiej zaś zginie. Początkującą na scenie, którą w małych rolach należałoby zaprawiać do scenicznego wygłaszania słów, dać jej możność obycia się ze sceną, wtajemniczyć w sposoby poradzenia sobie w trudnej chwili — tę początkującą odrazu zaprzęgają do ról nad siły: z jednej strony wzbijają w dumę, z drugiej zaś narażają na kompromitację — i to się nazywa: zasługą przysporzenia dla sceny sił młodych! — Gdzie rozum? gdzie sumienie wreszcie?... Jeżeli kto kiedy zarządza od dyrekcji rachunku, jakże go trudno będzie zdać p. Miłszewskiemu! którego tylko chyba wytłumaczy — dobra wiara, z jaką gubi talenta, i scenę przyprowadza do upadku...

Panna Górecka, powtarzamy, powinna jeszcze uczyć się mówić na scenie, bez której to umiejętności największy talent będzie niczem. To obowiązek pierwszy; następnie niechaj raczy nam uwierzyć, że przez całe życie nie będzie wiedziała co robić z rękami, gdy się nie pozbędzie owej fatalnej chustki, bez której przecieć obejść się można i potrzeba. Rolę raczej należy określić, aniżeli recytować ją z pamięci; i utknąwszy na słowie, powtarzać go, psując wrażenie wypowiedzianego; wypróbować po razy tysiąc miejsca, w których mówi się głosem podniesionym, by się nie narażać na kiksy, może bardziej rażące w mowie, aniżeli w śpiewie. Duma nie wyraża się wygięciem kibici i rzuceniem głowy w tył: wyraz twarzy i oka — to jej rzecznicy. Odgłos niemiły, towarzyszący westchnieniu, nie dodaje dramatyczności... Tu wzorem dla pań młodszych powinna być pani Nowakowska. Wreszcie potrzeba pannie Góreckiej więcej samodzielności; niezawsze dobrze jest naśladować zapoznane genjusze sceniczne, a panna Górecka posuwa się do kopjowania — nawet nosowego organu mowy pani M., która jako żywo! złą jest mistrzynią.

Niechaj nam panna Górecka nie bierze za złe, że tak bez ogródek wypowiadamy nasze uwagi; czynimy to w głębokim przekonaniu, że one posłużą do jej wyrobienia się, i w tej pewności, że artystka nie spotka się z nimi gdzieindziej, dla zupełnego braku kierownictwa na scenie naszej, o której, jak o ptaszętach ubogich, ma staranie — Opatrzność. Rzeczy tak stały, że aktor może u nas czerpać naukę tylko z wskazówek krytyki teatralnej, do rzeczników której niechaj będzie wolno i nam się zaliczyć.

Korespondencja Redakcji.

W. Lubiza w Tarnowie. Prace tego rodzaju są dla nas bardzo pożądane o ile zajmują się powiara ludu. Z nadesłanego listu skorzystaliśmy.
Pani Malwina W. Brak miejsca nie pozwolił nam uczynić zadość prośbie Pani, za co też przepraszamy.
Pan H. M. Baryłowie. Przypominamy się.
Pan H. Z. w Stanisławowie. Manna nie tylko w Starym zakonie była pożądaną...
Pan D... w Tarnowie. Więcej wolnego czasu zapewne pozwoli współpracownikowi „Kurjera“ pomyśleć o starych znajomych!...

Dodatek: „Chychotka“ piosnka z towarzyszeniem fortepianu. Muzyka W. Czerwińskiego, wiersz A. Urbańskiego z Nr. 14. rozesłany będzie.

T R E Ś Ć :

Odezwa do ziomków. — Na stepie (c. d.). — Po śmierci. — Pierwsza miłość korrepetytora (c. d.)
Korespondencja z Podola. — Rozmaitości.